Ner 27. Kraków 6 lipca 1867. Rok II.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dla Prenumerujących ostatni kwartalny zeszyt „Biblioteki".

Błędy wychowania.

Wiele bardzo ludzie napisali o wychowaniu, często o niém mówią, każdy czuje jak niezmiernéj to wagi zadanie wykształcić człowieka; rzadko jednak spotykamy u nas wychowanie pokierowane rozumnie i sumiennie. Często się zdarza, iż przez zwykłe nasze przywary: niedbałość, niewytrwałość, rodzice, choć kochający dzieci, pracę nad ich wykształceniem zbywają lekko i dorywczo. Gdzie zaś wychowanie jest staranne, tam znowu tak mylnie nieraz pojęte, że nielepsze niż zaniedbane wydaje skutki.

Wychowujący obierają pewien system, lub go sami sobie tworzą; z góry układają jakiém ma być to dziecko, cel ich troskliwości, i poczynają urabiać je pilnie według swego rozumienia i przyjętéj modły. Nie rózgą wprawdzie jak dawniéj, nie surowością i grozą, ale ustawicznem powściąganiem objawów natury i indywidualności dziecka, łagodnym, lecz ciągłym przymusem, dozorowaniem, chronieniem dziecka od każdego innego wpływu, dostarczaniem mu zatrudnień i zabaw odpowiednich zamiarom, a tak nieustannych, iż myśleć samo nigdy nie ma czasu, wykształcają powoli narzędzie, które poczęli w swym rozumie. Wytępiają przyrodzony charakter i usposobienie, nie dopuszczają rozwoju samodzielności w dziecku, pokarmu dla umysłu dają tyle tylko i taki, jaki przypada do miary ich wyobrażeń, i wychowują wreszcie istotę bierną, gładką powierzchownie, łatwo im się powodującą, nie mającą prawie wad, jak długo nie wejdzie w życie samodzielne, czynniejsze i trudniejsze. Wtedy dopiero występują zgubne skutki takiego wychowania. Owo starannie urobione, wzorowe narzędzie człowiekiem nie jest, nie umie myśleć ni działać samoistnie, nie ma własnego sądu i zdania, nie zdolne silnéj i stałéj woli, ulega każdemu wpływowi, a mimo wszczepionych w nie najmoralniejszych zasad, daje się porywać temu co błyszczące i pochlebne, co bawi i nęci, i wkrótce rozwijają się w niém wszystkie braki i wady, jakie zwykły towarzyszyć małości ducha, bezsilności charakteru.

Jeżeli rozpatrzymy się uważnie do koła nas, przekonamy się, iż dziewczęta zwłaszcza, częściéj pobierają takie wychowanie, niżby to się na pozór zdawało. W niektórych klasztornych zakładach jest ono także z góry tak urządzone i obmyślane, aby wykorzenić naturę i samodzielność. Biedną naturę poczytują za coś złego, opornego woli Bożéj, a przecież Bóg ją stworzył, na Jego dzieło ściągamy rękę wytępiając wrodzone usposobienie. Dziecko ma z natury różne skłonności, to pewna, ale nigdy bezwzględnie złe, zawsze dadzą się one skierować ku dobremu; nam zaś tylko kierować niemi wolno, rozwijać je ku coraz wyższéj szlachetności, sile, samoistności, nigdy wytępiać, ani zakuć wielki twór Boży w ciasną formę, w własnym urobioną mózgu. Każdą roślinkę wychodzącą z ziemi, Bóg opatrzył najtroskliwiéj, nie tylko w zarody dalszego jéj rozwoju i organa życia, ale obdarzył ją rozlicznemi środki ochrony przeciwko wpływom nieprzyjaźnym, które ją spotkają, i mógłby powstrzymać jéj rozwój, nie dopuszczając owocu. Każdy robaczek był takimże przedmiotem Jego troskliwości; tylko człowieka wysyłałby Bóg na świat ze szkodliwemi władzami? Czyż niezarozumiałém to mniemanie, iż wykorzeniając zarody, dane z natury, charakteru i indywidualności dziecku, podstawimy natomiast własne dzieło lepsze?

Co rzeklibyśmy o tym, ktoby budując dom, wznosząc ściany, pracował równocześnie nad wysunięciem podwalin z pod tego domu? Toż samo zaś my robimy, wytępiając naturę dziecka, tworząc mu sztuczny charakter, narzucając mu go przemocą. Tylko to, co oprzemy na wrodzoném usposobieniu dziecka, co rozwiniemy z jego własnych skłonności, będzie istotne i trwałe. Inaczéj budujemy na piasku, zaszczepiamy żywioły obce, do czasu tylko i chwiejnie. — Ileż to wychowanek wyszło z klasztoru tak skrupulatnych, iż pójście na teatr uważały sobie za grzéch, a po dwóch latach stały się z nich najlekkomyślniejsze trzpiotki światowe. Czemu? Bo charakter wrodzony, bo samodzielność i wolę w nich wytępiono, w zamian wszczepiono w nie pobożność i słodycz, ale sztucznie i nietrwale; pięknych tych przymiotów

nie rozwinięto z przyrodzonego, indywidualnego usposobienia dziecka, one nie mają gruntu, a tém samém stałości. Istoty tak wychowane, są niejakie, brak im charakteru, który, aby był istotny i silny, musi się wykształcić z przyrodzonego usposobienia, w niém samoistnie ugruntować.

Każdy przyzna, że wartość rzeczywistą człowieka stanowi charakter, ani miękkie i tkliwe serce, ani nawet rozum i wiedza, jak na to są codzień przykłady, nie uchronią człowieka w trudnych razach od znikczemnienia. Charakter stały i samodzielny, to potęga, pod którą się uginamy, którą szanujemy w człowieku, to znamię i warunek jego ludzkiéj godności.

Jeżli praca nad rozwijaniem dzielnych charakterów wszędzie potrzebna, to u nas zaprawdę niezbędna. Nas obdarzyła natura pięknemi dary, przedewszystkiém najwyższą, najłatwiéj rozbudzoną szlachetnością uczuć; nie ma narodu równie jak my skłonnego do poświęceń, tak łatwo przebaczającego najcięższe urazy, tak zdolnego chrześciańskiéj miłości. My chrześcianami jesteśmy na pół, już z natury; ta matka nie poskąpiła nam i zdolności umysłowych, ale właśnie dla przewagi w nas uczucia, myśmy miękcy, słabi, niewytrwali, niestali. U nas siła charakteru jest nadzwyczajnie rzadka. Gdybyśmy jéj więcéj posiadali, nie bylibyśmy ani utracili niepodległości, ani tak długo próżno za nią tęsknili. Łudzeniem się cudzemi podszepty, słabością, chwiejnością upadł każdy nasz ruch narodowy. Przez też same wady tracimy na czci narodowéj, nie umiemy podjąć żadnéj wytrwałéj pracy, żadnéj zasady przeprowadzić stale w życiu. Bohaterowie i święci męczennicy w dniach zapału, jakżeśmy nieudolni w życiu praktycznêm, jak nieudolni obecnie w próbach politycznego życia! Ostatnie powstanie nagromadziło tyle heroicznych czynów i poświęceń, że ich tak wiele nie wykażą inne narody w całych swych dziejach — a ileż przy tém było błędów i niedołęztwa?

Może kto powie, że kształcenie silnego charakteru tylko u mężczyzny potrzebne, że kobieta dosyć aby była łagodną i posłuszną. Odpowiem, że w braku zalet zwykły się rozwijać spowinowacone z niemi przywary. Gdzie np. rozumu nie kształcą, tam zdolności umysłu idą w przebiegłość, i ta bujnie się krzewi; gdzie zaś nie ma siły charakteru, tam w zamian bywa nieznośny upór, tam nie szukać stałości w pełnieniu obowiązków, ni wytrwania i rady wśród doświadczeń życia, a przy uczuciowém usposobieniu kobiecém, zdarza się wielka drażliwość, przeradzająca się łatwo w prędkość i popędliwość, jest skłonność przeważna do próżności i błyskotek, do płochości. Ruchliwość wyobraźni kobiecéj, żywość jéj uczuć, potrzebuje znaleść równowagę w sile charakteru i w gruntownêm wykształceniu, inaczéj staje się szkodliwą jéj samej i drugim. Cnota i zacność niewieścia wtenczas tylko jest pewną, niezależną od okoliczności, kiedy oparta na sile charakteru. Bez stałości i siły chwiejne są religijne i moralne zasady; doświadczenie uczy jak często ustępują one, u istot słabych nie tylko porywom uczucia, ale próżności i światowości. Któż także nie widział na to przykładów w życiu, iż z kobiet o niewykształconym charakterze i umyśle bywają niegodne i uporne żony, niezdolne same sobą kierować, a najmniéj powodujące się, bo we wszystkiém chwiejne, przerzucające się żywą wyobraźnią z jednéj ostateczności w drugą.

(Ciąg d. n.)

Apoteoza niewiasty.

Gdy słowo „stań się" grzmiało wśród chaosów
I na bezdennéj pustyni niebiosów
Stawały światów oazy — wraz z niemi
Zeszedł dla nowo-narodzonéj ziemi
Duch opiekuńczy z Najwyższego woli —
Z wyżyn niebiosów na padół niedoli.

I dano jemu ciało śnieżno białe,
Oczy błękitne — nieba przypomnienie,
Usta milczące, oblicze nieśmiałe,
I włosów ciemno-słoneczne promienie.

I począł schodzić w szacie lazurowéj
Z gwiazdy na gwiazdę i z słońca na słońce,
A kędy stąpał.... w drodze eterowéj
Z gwiazd wydobywał tony słodko brzmiące....
.... A pierwszy człowiek we śnie pogrążony
Słysząc nieznane przecudowne tony —
Zbudził się — spojrzał.... dźwięki ścichły srebrne,
A nad nim cudne zjawisko nadniebne
Unosząc wonne z róż i z lilij wieńce,
Z uśmiechem białe wyciągnęło ręce!

Niebios mieszkanko! po cóż Tobie było
Zchodzić na naszą biedną, chmurną ziemię —
By nieść przez wieki wszystkich żalów brzemię,
Nad każdą we łzach smucić się mogiłą,
Widzieć umarłych i w boleści żywych,
I być konieczną matką nieszczęśliwych?....

Podałaś dłonie i idziesz wygnana
Przez lat tysiące, cierpień miliony —
Idziesz jak owa pierwsza pieśń nieznana,
Jak pieśń pociechy od nieznanéj strony.

H.

Hermanowe grzechy i kłopoty.

(Ciąg dalszy.)

II.

Dawno już nie widzieliśmy surowéj i dumnéj twarzy królowéj. Ona związawszy się tajemnym sojuszem z Sieciechem, przykuwszy go do swéj sprawy złotemi nadziejami, cofnęła się w głąb, jemu zostawiając pole działania, sama tylko jak pająk w ukryciu czujne miała oczy na rozstawione sieci, a szczególniéj niepokoił ją Bolesław. Zamknięty w murach, tłukł się niespokojny duch młodzieńca jak orzeł w klatce żelaznéj. Bardzo często Judyta z obowiązku matki nawiedzała go, ale w niechętnych odpowiedziach jego, w hardym wzroku czytała nienawiść jego ku sobie, ku Niemcom.

— Tego usunąć potrzeba — myślała nieraz, gryząc wargi.

Ale jak usunąć? — Trzeba było środka pewnego, tajemniczego jak grób, a powolnego, by nie zdradził przed światem. Nie wiedziała z kim się tą myślą podzielić — w jéj orszaku było wielu wiernych a nikt sprytny, przebiegły. W takich chwilach wzdychała za Ottonem. To nieczystych myśli westchnienie — to była jedyna pamięć, jedyny pomnik dla mnicha. Zresztą nikt go nie wspominał na dworze. — Nie widząc sposobu Judyta, postanowiła czekać na Sieciecha.

— Wszak to i jego sprawa — mówiła.

Nie długo czekała. Po zwycięzkiém zdobyciu Kruszwicy, król wracał do Krakowa a z nim Sieciech. Dumny hetman, by wpływ swój na królu przed całym narodem pokazać, nie zawiózł wprost Zbigniewa do Sieciechowa, ale go wiódł ze sobą do Krakowa, pysząc się przed światem królewskim jeńcem. — Królową zajęła twarz Zbigniewa. Chowany w Sasach, przybrał charakter niemiecki, to właśnie, co zwróciło na niego oczy królowéj. Czarny wąs ładnie zagięty nad ustami, twarz smagława — oczy czarne głęboko pod czołem siedzące, do tego kaptur mniszy, który przywdział od czasu jak został pojmany — wszystko to nadawało mu charakter niemieckich rycerzy. Królowa długo z zajęciem patrzała na niego i po głowie plątała się jéj już myśl o uwolnieniu Zbigniewa.

Po przywitaniu się z mężem, królowa wróciła do swoich komnat, czekając na sprzymierzeńca Sieciecha. Ale dwa dni całe minęły, a Sieciech nie pokazywał się u królowéj, co ją mocno niepokoiło. Na to jednak łatwo można sobie odpowiedzieć. Sieciech gdy widział władzę swoją zachwianą, chętnie złączył się z Judytą przeciw wspólnemu wrogowi. Dziś, gdy jeden przeciwnik był w jego rękach, a drugi więziony przez ojca między księgami, czuł się zanadto pewnym, by potrzebował kogo do pomocy; zanadto dumnym, by chciał zależeć od kogo. — Królowa naprożno go czekała, a niemogąc się doczekać, posłała sługę po niego.

— Witajcie hetmanie — rzekła do wchodzącego — cóż tak stronicie od waszéj królowéj? —

— Nie wiedziałem, azali mnie królowa potrzebuje.

— Mogliście się tego domyśleć, że mnie obchodzą nasze sprawy i chciałam o nich coś z wami pogadać.

— Sprawy mojego króla stoją świetnie — rzekł Sieciech, omijając starannie to, czego królowa dotknąć chciała.

Zesztywniała dumnie postać królowéj, poznała myśl Sieciecha i rzekła:

— W takim razie nie zostaje mi nic innego, jak podziękować wam hetmanie za usługi, jakieście w téj sprawie królowi oddali. Żegnajcie mi.

Sieciech odszedł a królowa syknęła, upadając w krzesło.

— O dumny Sieciechu, odpowiesz mi ty za tę chwilę upokorzenia, rozkołysałeś w moich piersiach gniew, który nie pierwéj ucichnie, aż cię zgubi.

Tak mówiła królowa, a że była rozumna niewiasta, więc nie tylko mówiła, ale i przemyśliwała zaraz nad środkami zgubienia Sieciecha. Myśl jéj zatrzymała się na Zbigniewie. Z radością zatrzymała się nad nim, przejrzała całe jego życie i widziała, że nikt tak jak on nie ziści jéj zamiarów.

Zbigniew nienawidził to wszystko, co ona nienawidziła, co ona zniszczyć chciała — nie kochał ojca, nienawidził Sieciecha — pragnął śmierci Bolesława, by sam mógł siąść na tronie. Do tego Zbigniew bardziéj sprzyjał Niemcom, już dla tego, że się chował między nimi, już, że ci byli skorymi do niesienia mu pomocy. Niezwłocznie więc poczęła myśleć nad sposobem uwolnienia go. Sieciech nie wiedząc nic o zamiarach królowéj, stanął jednak wpoprzek jéj myśli, bo po kilku dniach wysłał Zbigniewa pod pilną strażą do Sieciechowa. — Nie osłabił ten wypadek ducha królowéj, owszem tém skrzętniéj i gorliwiéj rzuciła się do urzeczywistnienia swych myśli.

— Zbigniew musi być wolny — rzekła patrząc za odjeżdżającym więźniem i zapuściła zamyślone oczy w ciemną przepaść pomysłów i intryg.

SIECIECH.

Pierwszego maja r. 1097 odbywała się w gnieźnieńskiéj katedrze uroczystość poświęcenia kościoła, — król i królowa zjechali na tę uroczystość. Arcybiskupem był pod ten czas Marcin, kapłan wielkiéj duszy, szlachetnych przymiotów i rzadkich cnót pełen. Cały kraj ze czcią wspominał jego imię, król szanował go wielce i ważył sobie bardzo jego słowa. Bytność obojga królestwa w Gnieznie trwała dni kilka. — Jednego dnia

z królewskiego zamku wyszła niewiasta w żałobnych szatach, z książką modlitewną i koronką w ręku, zasłona zakrywała jéj twarz. Minęła rynek, przeszła koło katedry i weszła do mieszkania arcybiskupa. Była to królowa Judyta. Na słowa arcybiskupa, witającego ją z oznakami winnemi jéj godności, odrzekła z pokorą:

— Nie królowa do Was przychodzi, ale strapiona niewiasta, która chce tu znaleść pocieszenie i radę w smutkach i zgryzotach, które uciskają jéj duszę.

— Z tém sługa Boży zawsze gotów być winien — słucham was królowo.

Tu królowa poczęła mu spowiadać się, jak po zniknieniu Salomona ślubowala żyć w wdowieńskim stanie i jedynie to ją skłoniło do zawarcia ślubów z Hermanem, że się spodziewała przynieść choć odrobinę szczęścia w jego kłopotliwe panowanie i to stało się celem jéj życia. Ale źli ludzie, mówiła daléj, mącą moją pracę i siejąc niesnaski między ojcem i synami, rwą zgodę w rodzinie i do grzesznych czynów pchają dobre ale słabe serce królewskie.

— Patrzcie — mówiła daléj — patrzcie ojcze jak przykre jest moje położenie — oto król trzyma zdala od siebie Bolesława, Zbigniewa oddał za więźnia Sieciechowi. To początek tych niesnasek, które się wielkiemi zbrodniami skończyć mogą. Czyję, że jako matka rodziny winnam wszystko poświęcić, byle zgodę w rodzinie utrzymać. Ale próżno, prożby moje odbijają się od królewskich uszów i zostają niewysłuchane. Do was więc przyszlam szanowny ojcze, byście w imie religii ułagodzili gniew króla, przypomnieli mu obowiązki ojca i wrócili zgodę domowi naszemu.

— Piękne i chrześciańskie są twoje chęci przezacna pani — rzekł biskup — ale za postąpienie ze Zbigniewem trudno ganić króla, król ma słuszność, bo ten syn ciągle wyciągał bezbożną rękę przeciw niemu.

— Bo mu ojciec nigdy ojcem być nie chciał. Czyż to tak trudno przebaczyć synowi, jeżeli przez to w rodzinie wróci spokój i miłość?

— Rozważcie ojcze moją prośbę i przychylcie się do niéj, jeżeli znajdziecie w niéj słuszność.

Marcin wziął do serca prośbę królowéj i starał się wpłynąć na postanowienie króla. Niezadługo zdarzyła się do tego sposobność.

Król, odłączony od dzieci podejrzeniami Sieciecha — nie doznający miłości ze strony żony, uczuł jakąś duszną tęskność, jakieś niezadowolenie. Do tego jeszcze dręczyły go jakieś niepokoje sumienia i spadały na duszę jego jakieś lęki, jakieś myśli trapiące, na które szukał pociechy w religii.

Arcybiskup wtedy rozkruszał serce królewskie i przygotowywał go do chętnego przyjęcia rady, którą mu chciał udzielić.

— Patrzcie królu — mówił mu raz — jak jeden grzech jest ojcem wielu grzechów i trosk człowieczych. Tego grzechu nie wymazać wam już z życia, ale skutki jego zatrzeć możecie. Czyńcie jak prawy król, jak dobry ojciec i dobry mąż.

— Nie mówcie mi ojcze o szczęściu rodzinném — tu ciemno dla mnie.

— A czyjaż w tém wina?

— Nie moja, nie moja. Synowie jak psy rzucają się na mnie, chcąc mi zabrać wszystko co mam, a nie dając mi w zamian nic, nawet miłość.

— Grzeszne są wasze myśli królu.

— Więc grzechem jest żem poszedł na Zbigniewa, co mi buntem wciąż grozi?

— Gwałtowny to człowiek ten Zbigniew — to prawda, ale to dla tego, że wasza niedobroć rozkiełzała go do reszty. On w was nigdy nie widział ojca.

— Kochałem go dawniéj, ale teraz nie mogę. Jego urodzenie jest błędem, winą....

— Jeżeli jest winą, to ta wina nie na nim cięży, ale na was królu.

— Mnie mnichy na Mazowszu inaczéj mówili.

— Ale sumienie wam tak musiało mówić. Otwórzcie mu królu wasze ojcowskie ramiona, a może będzie innym.

— Toż przebaczyłem wszystko i Szlązk mu dałem, a potém Pomorzan nasłał na mnie i sam stanął jak wróg....

— To było już wtedy, gdy słyszał, żeście mu tajemnie Szlązk odebrali. Za czarno patrzycie na świat i ludzi królu i czarno ich widzicie. Podejrzywacie waszych synów o to, czego może nie mają w myśli. Młodzi, chciwi sławy, popisu, i dla tego może nie radzi znoszą wędzidła i ciasne granice — ale pofolguj im, a zobaczysz, że orlęta szeroko się rozbujają po niebie, ale do ciebie wrócą zawsze z schyloną głową i synowską miłością.

— O radbym, żeby się twe proroctwa sprawdziły księże. Miałbym na kim wesprzyć skołataną głowę i pożalić się i pocieszyć się. Sieciech dumą swoją przerastać mnie już zaczyna — Judyta zimna i wstrętna mi.

— Nie rzucajcie królu potwarzy na tę niewiastę.

— Biskupie ja ją znam dobrze, to bryła lodu świetnie, po królewsku błyszcząca, ale nic więcéj.

— A ja wam kapłańskiém słowem zaprzeczę. Jest tam ogień miłości w téj pobożnéj niewieście okryty surowém obliczem i powagą....

— Dziwy mi dziś prawicie biskupie, albo muszę wierzyć w cuda, albom ja dotąd był ślepy.

Krótko jeszcze zabawił król w ten dzień u arcybiskupa i wrócił do siebie, mając głowę pełną pomysłów i nadziei.

Przechodząc koło murów, rzucił okiem na miasto i zobaczył Sieciecha jadącego w otoczeniu mnóstwa dworzan bogato przybranych, z okazałością prawdziwie królewską. Niespodobało się to bardzo królowi.

— Sieciechu, Sieciechu — mruczał sobie — tobie się zachciewa przerosnąć króla. Toż słuszniéj Zbigniewowi niż jemu przystało, a gdy on Zbigniewa za taką okazałość potępił, — to tém samém na siebie wyrok wydał.

Wszedł do komnaty królowéj i zastał ją na klęczkach. Gdy za jego przyjściem powstała — król zamyślony usiadł i po chwili spytał:

— Judyto, cobyś ty na to powiedziała, gdybym ja za życia jeszcze zrzucił z siebie ciężkie jarzmo panowania i rozdzielił je między synów moich.

— Ucieszyłabym się — że ojciec zabił w was króla.

Herman nie był przygotowany na tę odpowiedź przebiegłéj królowéj i z zadziwienia nie prędko przyszedł do głosu.

— Nie poznaję was królowo, dawniéj wyście tak drżeli o koronę, tak nie umieli myśleć o czém inném.

— Gdy ją obcy człowiek miał wam zerwać z głowy, ale nie dziś, gdy na synów spadnie.

— Mówisz synów, więc i ty chciałabyś Zbigniewa widzieć synem moim?

— Wszak tego zaprzeć się nie możecie?

— Judyto, ja was dziś nie poznaję... ty nie ta sama co dawniéj....

— Boście mnie poznać nie chcieli — rzekła królowa z udaną pokorą — a widząc, że ta chwila ma wiele stanowić, zdobyła się na sentyment i mówiła daléj:

— Jak mogliście królu żądać od niewiasty, by przed wami wyspowiadała serce swoje, gdy wasze zamknęliście przed nią. Porzuciłam dla was spokojny dwór Ratysboński, spodziewając się znaleść u was miłość. Wy wtedy zajęci byli waszym synem, ja stałem w cieniu, i czyż możecie się dziwić, że potrochu wyrodziła się we mnie niechęć do tego dziecka, co mi wasze serce odbierało. — Dziś inaczéj — dziś pomarszczone moje czoło, nie może żądać od was tego, czego dawniéj żądało, dziś w modlitwie znalazłam szczęście i w modlitwie proszę dla was i synów waszych o szczęście.

— Judyto, daruj mi — rzekł król rozczulony — jam się nie poznał na tobie — ja myślałem że ty z głazu, a ty masz serce, co moje zawstydzić zdolne. Powiedz mi, czy z serca pragniesz, bym synom oddał rządy?

— Jeżeli chcecie rady kobiecéj — tobym wam się ośmieliła powiedzieć, że do rządów jeszcze za młodzi, daj im część władzy, niech przywykają do niéj powoli.

— Mądrze i dobrze radzisz niewiasto. Dziś jeszcze poszlę po Zbigniewa i z Bolesławem go porównam, rozdzielę kraj między nich, ale władzę króla i ojca zatrzymam nad nimi.

Tak postanowiwszy król, kazał natychmiast wezwać do siebie Sieciecha i rozkazał mu, aby Zbigniew był puszczony na wolność i z należną czcią do Gniezna przywieziony. Sieciech zdumiał się — patrzał na króla i królową, chcąc wybadać nagły powód téj zmiany. Król miał dla niego twarz dumną, zimną, trochę pogardliwą — królowéj oczy skrytą nadzieją błyskały.

— Ależ królu wyście mi go pod straż oddali i trzymać go będę dla bezpieczeństwa waszego i dla bezpieczeństwa kraju.

— Zostawcie tę troskę królowi, a sami myślcie o tém, jak być nam posłusznym.

Hetman odszedł, a odchodząc, rzucił na królową wzrok pełen nienawiści i gniewu, i syknął:

— Zwyciężyłaś królowo.

Za kilka dni przybył już do Gniezna Zbigniew. — Wchodził skromny i cichy, bojąc się zdrady, nie wiedząc, czemu przypisać swoje uwolnienie. Tą pokorą uspokoił królewskie obawy i zyskał sobie Hermanowe serce. Często bardzo król wołał go do swych komnat, rozmawiał z nim łaskawie i Bolesławowi kazał kochać go jak brata. Zbigniew w tych wszystkich względach królewskich zachowł swój koci charakter — układny, ale niepewny, ostrożny.

Nie pojmując powodu łask królewskich, podejrzywał jakąś zdradę. Dopiero dłuższa tajemna rozmowa z królową rozwiązala mu tę zagadkę. Musiała stara królowa wielkiemi nadziejami rozkołysać serce chciwego władzy ex-mnicha, bo kiedy wychodził z jéj komnat, miał dumną, wyprostowaną postać, a ciemna twarz jego rozgorzała ogniem radości. W przedsieniach spotkał się oko w oko z Sieciechem. Obaj skrzyżowali spojrzenia jak miecze.

— Od królowéj wracacie? spytał hetman z uśmiechem ironicznym, jakby mu chciał dać poznać, że jest panem ich ciemnéj tajemnicy.

— Nie możecie widać zapomnieć Sieciechu, że już nie jesteście dozorcą mego więzienia, kiedy tak strzeżecie mych kroków.

— Król was szukać rozkazał. Czeka na was w górnych komnatach.

Zbigniew pospieszył na górę, nieczyste sumienie poddawało trwożliwe domysly czego król chce od niego. Z drzeniem wstąpił do komnaty.

— Zbigniewie — rzekł król do wchodzącego — Pomorzanie ubiegli zamek Santok, załogę naszą w pień wycięli. Trzeba strasznie ukarać tych zdradnych najezdników. Tobie i Bolesławowi oddaję dowództwo nad wojskiem. — Do Bolesława posłałem już zawiadomienie, wnet podąży za tobą. Tobie daję pierwszeństwo zwycięztwa.

Umyślnie król dał pierwszeństwo Zbigniewowi, by mu wynagrodzić dawne z nim postępowanie, by tym dowodem miłości przygarnąć go bliżéj siebie, bo dotąd

widział go tylko nieufnym i podejrzliwym. Ale ten zaszczyt pierwszeństwa wcale nie był na rękę synowi i zakłopotał go raczéj jak ucieszył. Miał iść bić Pomorzany, którzy mu nieraz słali posiłki przeciw ojcu — to go niepokoiło. Nie żadne uczucie wdzięczności i przychylności było tego powodem, jeno przezorność, że Pomorzanie będą jeszcze mogli być mu pomocnymi. A znowu z drugiéj strony to przełożenie jego nad Bolesława pochlebiało jego dumie, pomagało jego zamiarom i nie chciał nie korzystać z tego. Więc poszedł na czele wojska, ale usiadłszy pod murami Santoka, nie śmiał uderzyć nań. Postępowanie jego było wachające się, niepewne, dwuznaczne.

Pomorzanie znaleźli sposób tajnego porozumienia się z nim, nakłaniali go, aby pamiętając na przysługi, jakie mu oddali, nie prześladował ich jak nieprzyjaciel, obiecywali mu nawet pomoc do osiągnięcia korony, jeżeli pomoże im do zwycięztwa nad wojskiem królewskiém. Zbigniew namyślał się, wachał i zwlekał stanowczą odpowiedź. Nie chciał na niepewną grę stawiać téj władzy, jaką miał dotąd i łaski króla, — a z drugiéj strony bał się ściągnąć na się gniew Pomorzan. Wojsko tymczasem bezczynnie leżało pod murami Santoka. Wtém nadeszła do obozu wieść o zbliżaniu się wojsk Bolesławowych. Pomorzanie obawiając się połączenia obu sił nieprzyjacielskich i niedowierzając już Zbigniewowi, zrobili jednéj nocy wypad z miasta na nieprzygotowanych. Popłoch i zamięszanie powstało wielkie między oblegającymi. Pomorzanie przedzierają się z zapalczywością do namiotu Zbigniewa, pewni bowiem, że on umyślnie łudził ich przychylnością swoją jedynie dla tego, aby zyskać czas do pomnożenia sił swoich wojskami Bolesława — pragnęli pomścić tę zdradę. Zbigniew zbudzony wrzawą, wybiegł z namiotu. — Pomorzanie już się zbliżali — garstka dzielniejszych żołnierzy obronnie stanęła koło namiotu królewicza, namawiając go do rycerskiéj obrony. Ale napróżno. Zbigniew dopadł konia i bezbronny uciekł. — Nad ranem spotkał się z nadciągającym Bolesławem. Dziwne było spotkanie braci. Zbigniew bezbronny, zestrachany nie śmiał patrzeć w rycerską twarz brata, który jechał z pewnością zwycięztwa. By zasłonić siebie przed szyderstwem brata i urągowiskiem całego wojska, Zbigniew przesadzał w opowiadaniu potęgę nieprzyjaciela.

— Strach mnożył ci go w oczach mój bracie, — rzekł z lekkim uśmiechem Bolesław — a choćby nieprzyjaciel i był tak silnym, jak mówisz, to cofać się bez wstydu nie można.

Zbigniew nawrócił czarnego rumaka i jechał obok brata upokorzony, zdeptany jego odwagą. Tak przyszli pod Santok. Nieprzyjaciele ośmieleni poprzedniém zwycięztwem, nie długo zwlekali powtórny napad. Wojsko Zbigniewa stało wtedy na wzgórzu — on sam stojąc na przodzie, patrzał na walkę. Natarcie Pomorzan było gwałtowne — wojsko Bolesława zachwiało się i ustępować poczęło. — Zbigniew z szatańską radością przypatrywał się temu, a kiedy gońce od Bolesława przybiegali, żądając by nadciągnął z pomocą — on pod pozorem, że chce zajść tył nieprzyjacielowi, cofnął się wstecz. Była to zemsta za owe pogardliwe słowa, któremi go brat przywitał na drodze. — Bolesław widząc wojska Zbigniewowe ustępujące, zapalił się gniewem, rycerskie serce jego zapragnęło zwycięztwa nad nieprzyjacielem i podłością brata, porwał za miecz i z impetem uderzył na nieprzyjaciela. Starcie było straszne — dwie godziny trwała zacięta walka, po któréj Pomorzanie cofać się w nieładzie do miasta poczęli. Tuż za nimi wpadł Bolesław. Po krótkiéj rzezi miasto się poddało. Kiedy Zbigniew nadciągnąwszy, winszował bratu zwycięztwa — ten pogardliwie odezwał się:

— Zła rola wypadła ci bracie — ja zwyciężyłem — a tobie chyba grzebać umarłych przyjdzie.

Potém zostawiwszy załogę w mieście, wracał do Krakowa dumny ze zwycięztwa. Obok niego jechał w cieniu Zbigniew, pełen zazdrości i nienawiści dla zwycięzcy.

Ojciec przekonał się, że mimo usiłowań nie może zgody i miłości rozbudzić w synach — rozdzielił więc ziemię między nich, najwyższą władzę zostawując sobie. Zbigniew otrzymał Mazowsze i część Sieradzkiéj ziemi. Bolesław Krakowskie, Sandomierskie i Szlązk. Poczém obaj bracia rozjechali się do dzielnic swoich.

(Dok. nastąpi.)

Kobiety dramatów Słowackiego.

KORDJAN. — LAURA. — MIŁOŚĆ POETÓW.

(Ciąg dalszy.)

Autor „Nieboskiéj“ nie zna westchnień i cierpień nieszczęśliwego kochanka, nie zna tych burz, jakie szamotały Gustawem i Kordjanem. To, za czém tamci tęsknią, on posiadł — dotknął się szczęścia ziemskiego. Poemat jego rozpoczyna się ślubem. Ale wnet przesycił się tém, rodzinne pożycie zraża go prozaicznością swoją, pragnienia poetyczne nie dają mu zasnąć spokojnie i wyrywa się z ciasnych ram domu. Kto wie, czy Gustaw i Kordjan nie taksamoby zrobili, gdyby ich los ślubnym pierścionkiem przykuł do małżeńskiego łoża — kto wie, czyby w objęciach Marylki i Laury nie powtórzyli z hrabią Henrykiem przesyceni: „żyliśmy życiem Niemców fabrykantów“.

Tak więc Gustawa obrażona miłość, Kordjana rozczarowanie, a Henryka przesyt wyprowadza z cichych ustroni uczucia na szeroki gościeniec publicznego życia; pierwszego wiedzie do tego droga przez grób, z którego wstaje odrodzonym z Konradem w więzieniach

Wileńskich, drugi z Montblanc, ogarnąwszy myślą ludzkość całą — zapomina o boleściach własnego serca i schodzi na ziemię, by się poświęcić wielkiéj idei. W spisku koronacyjnym w Warszawie widzimy go jako podchorążego, chce oswobodzić Polskę od Cara i zostawia testament w tych słowach: „Narodowi daję, co mogę— krew i życie moje i tron do rozrządzenia próżny“. Trzeciego tj: hrabiego Henryka orzeł sławy i dumy wiedzie przez przepaście do feudalnego gotyckiego zamku Ś. Trójcy, gdzie w obronie starego porządku walczyć będzie przeciw nastającym tłumom demokracyi — i będzie zwyciężony. Ale to już nie należy do skromnych ram niniejszéj rozprawki. Czas nam wracać do Laury, z powodu któréj zrobiliśmy tę małą wycieczkę w dziedzinę miłości poetów.

Laura po owéj scenie z Kordjanem w ogrodzie — wróciła do siebie i usiadłszy przy lampie, przerzucała stronnice albumu. Przy wierszu Kordjana zatrzymała się dłużéj. Jakaś natrętna niespokojność wkrada się do jéj serca — jedenasta biła, a Kordjan nie wrócił jeszcze. Ten niepokój, ta troskliwość, byłaż to miłość? Nie. Słowa Laury: „gdybym to dziecię płochém szyderstwem zabiła“ — określają najlepiéj jéj stosunek do Kordjana, jéj usposobienie wewnętrzne dla niego. — Któraż panna nie chce i nie lubi być ubóstwianą? Laurze pochlebia to, że jest natchnieniem młodego marzyciela, chce uwierzyć temu, że „co napisze na jego sercu, przetrwa napisane na wieki, wieków“, że będzie przez niego nieśmiertelna. Nie odpycha go więc od siebie, ale i zbliżać się nie pozwala, nie daje nadziei, ale jéj nie odbiera. Jest to panna poetycznie praktyczna. Więcéj o Laurze powiedzieć się nie da, jest to charakter niewykończony, ledwie naszkicowany i *al fresco* rzucony z młodzieńczych wspomnień.

Poeta szybko przechodzi te sceny, by przejść do innych, w których również jego uczucia marzną od chłodu rzeczywistości i doznają rozczarowania. Po téj szybkiéj drodze życia, wiara w miłość, w religją, w ludzi, jak zwiędłe liście opada z jego duszy; ironiczny uśmiech igra na jego ustach w parku Jame'sa, na papiezkich progach zostawia uczucia religijne, niedługo potém widzimy go w willi włoskiéj, w ramionach pięknéj kobiety. Nie znalazłszy miłości na północy, Kordjan szuka jéj w gorącém południu, w iskrzącycych czarnych oczach Włoszki. Nie jest to przypomnienie krzemienieckich nocy, ale miłość szalona, namiętna — tam patrzał w niebo, tu dotknął się ziemi. I Wioleta obejmująca gwałtownie szyję Kordjana białemi ramionami, nie podobna do chłodnéj Laury, która nawet ze zbytnią troskliwością dla niego wydać się nie chciała — a jednak obie nie kochając dają oznaki przychylności, obydwie chcą być zapłaconemi, jedna sławą poety, druga jego pieniądzmi. Obiedwie są trzeźwe; ale Laura jest na téj kończynie trzeźwości, która niebiosów dotyka — (żadna rozsądna panna nie byłaby sobie inaczéj postąpiła z młodszym od siebie kochankiem), a Włoszka blizko ziemi i błota; pierwsza tylko nie chce go odepchnąć od siebie, druga pieści niekochając. Toteż gdy zawód pierwszéj miłości pistolet wetknął mu do ręki, drugi zawód tylko ironiczny śmiech wywołał na jego usta.

Świat jest nieraz snycerzem, a serce kobiety
Lawą ostygłą —
Niegdyś ta lawa ogniem zapalona wrzała,
Skoro ostygła, snycerz kształt jéj nadał drugi

Tak mówi, widząc Włoszkę czepiającą się namiętnie ust jego — uśmiecha się ironicznie, bo wie, że jedno słowo przerwie pieszczoty Włoszki i odrzuci ją od niego — to słowo wymawia, w końcu donosząc Wiolecie, że jest zruinowany grą. Odbiegła od niego natychmiast. Za odjeżdżającą rzucił Kordjan pogardliwy uśmiech i poleciał daléj.

Jak powiedziałem, nie można tu mówić o charakterach kobiet, a szczególniéj o ich przeprowadzeniu, jednak jest to zawsze choć szkic charakterów, prawda, że ujemny, ale bo też nie zapominamy, że ręka, która je kreśliła, drżała trochę namiętnie, poruszana osobistemi uczuciami poety. Rzucał więc sceny *ab irato*. W Beniowskim, który jest jakby dalszym ciągiem serdecznéj spowiedzi poety, zaczętéj owéj nocy u nóg Laury, jest jakby rehabilitacja Laury a raczéj uczucia do niéj (w IV. pieśni):

Patrzaj, powracam bez serca i sławy
Jak obłąkany ptak — i u nóg leżę.
O nie lękaj się ty, że łabądź krwawy,
I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty — głos mój wśród wichru i wrzawy
Słyszałaś, w równéj zawsze strojny mierze,
U ciebie jednéj on się łez spodziewał —
Ty wiesz jak muszę cierpieć, abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina,
Tam siądź i słuchaj wichru tego żalów,
Który daleka odnosi kraina,
I w pieśń się patrzaj tę, co jest z opalów,
A więcéj kocha ludzi niż przeklina —
I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną,
Ja, co przeszedłszy świat, kochałem jedną?

Twój czar nademną trwa. —

KSIĄDZ MAREK.

(JUDYTA.)

W ostatnich latach życia Słowackiego niknie ta sercowa struna, na której wygrał tyle boleści, żalów i zachwytów — duch jego zagłębia się w poważnych, mistycznych rozmyślaniach, których owocem i szczytem jest „Król duch". „Ksiądz Marek" i „Srebrny sen" należą również do téj epoki. Wiadomo w skutek czego nastąpiła ta ducha przemiana poety, stała się ona pod wpływem Towianizmu. Słowacki wprawdzie nie długo był członkiem téj sekty — rewolucyjny duch jego nie umiał chodzić na pasku ślepego posłuszeństwa, wiele rzeczy nie podobało mu się w Towianizmie, wystąpił przeciw nim, a ztąd potwórne poróżnienie się z Mickiewiczem i wystąpienie z koła Towiańszczyków. Ale zrywając z członkami i z niektóremi błędami, nie zdołał się otrząść z wpływu Towianizmu, zdania i myśli tam zaczerpnięte przyjęły się w nim i rozrosly olbrzymio wśród bujnéj, tropikowéj wegetacyi jego fantazyi. Dziwno się może niejednemu wyda, jakim urokiem Towianizmu zdołał oczarować najgenialniejszych ludzi i zawrócić im głowy? Najzacniejsza część naszéj emigracyi stała się wyznawcami téj nauki, która mimo wielu zalet, jest przecież niczém więcéj, tylko marzycielstwem, osłabiającém energią i cofającém człowieka z areny czynnego, ruchliwego życia w cichą ustroń duchowych rozmyślań. Czemże się to stało? Było to następstwem nieszczęść politycznych. Wystawmy sobie tylu ludzi wyrwanych z pośród stosunków rodzinnych, skazanych na tułactwo, ludzi dla których nie istnieje dzisiaj, którzy żyją tylko wspomnieniami z wczoraj i karmią się nadzieją jutra, których dłonie były bezbronne i bezsilne a dusze bogate w miłość ojczyzny i chęć poświęceń, a którzy rozpaczali nie wiedząc sposobu, by te pragnienia ich duszy stały się ciałem — urzeczywistniły się. — Wśród takich ludzi, których jedyném bogactwem, jedyną siłą był duch — którzy żyli więcéj z ducha jak z ciała — stawa naraz człowiek, mieniący się posłannikiem bożym i powiadam im: „tym duchem zwyciężycie. Nie potrzebna wam brutalna siła fizyczna, duch jest potęgą, która zwycięża". Była to kotwica rzucona zrozpaczonym rozbitkom w mętne fale, to też uchwycili ją z pośpiechem; pod skrzydła téj nowéj nauki schronili się przed zwątpieniem, a wiara ich rosła z miłości ku ojczyznie.

I nasz poeta poszedł tą drogą za innymi, zwłaszcza, że całe jego usposobienie wewnętrzne odpowiadało zupełnie tym zasadom. Słowacki jak powiedzieliśmy wyżéj, patrzał na świat nie zmysłowemi oczami. „Właśnie ten dar oglądania wszystkiego jedynie w cudownych światłach poezyi — powiada o nim Małecki — przyprawił poetę naszego o stratę zdolności pojmowania rzetelnych świata tego stosunków w ich warunkach rzeczywistych. Jest on na podobieństwo owych wieszczów mitycznych starożytności, którym bogowie w zamian za lutnią do rąk podaną i poetyczne jasnowidzenie odjęli widzenie przyrodzone i zamknęli oczy na wszystko, co ich zewnątrz otaczało. Słowacki nie miał zmysłu dla niczego, co się tylko zowie rzeczywistością. Zrażała go ona, bo nie była piękną". — Towianizm zerwał z tą rzeczywistością, w duchowych jego sferach poeta uczuł się jakby w swoim żywiole.

Ostatnie jego poemata i listy do matki pisane już są pod wpływem tego przeobrażenia wewnętrznego; zyskał na téj przemianie jako człowiek, choć nieco stracił jako artysta. Nie chodzi mu już więcéj o sławę, za którą tak dawniéj się uganiał, życie jego nabiera charakteru ascetycznego i apostolskiego, w słowach jest jakaś groza i świętość. Ale obok ważnéj treści, wielkie zaniedbanie formy, które wynikło właśnie z wyobrażeń Towianizmu. „Nie piszę ja, ale piszą duchy przezemnie — tak utrzymuje mistyk — nie godzi się więc poprawiać i ogładzać słów duchów". — To zaniedbanie formy najwidoczniéj pokazuje się w krótkich, w rodzaju kalderońskim wierszach księdza Marka. Aby ten dramat należycie zrozumieć i ocenić, trzeba nam zrozumieć podstawne zasady Towianizmu.

Utrzymuje on: że każdego człowieka otaczają niewidzialne chóry duchów, natura ich jest taką, jakiém jest usposobienie wewnętrzne człowieka: złego otaczają złe duchy, — dobrego, moralnego dobre. W miarę więc doskonalenia się człowieka zastępy dobrych duchów mnożą się koło niego i przeciwnie. Te duchy współdziałają z człowiekiem. Celem ludzkości jest doskonalić się, tj. zwiększać zastępy dobrych duchów i z ich pomocą zwyciężyć złe. Życie ludzkie jest walką tych niewidomych potęg, — ludzie ich znakiem widomym.

Tak mniéj - więcéj da się skreślić zasada Towianizmu.

Dramat, Ksiądz Marek jest walką takich potęg złych i dobrych. Ksiądz, Judyta, Kosakowski — to reprezentanci tych potęg walczących ze sobą. Nie są to więc żadne charaktery w ściśle dramatyczném znaczeniu, ale ideje ścierające się ze sobą. — Przypatrzmy się téj walce.

Rzecz dramatu dzieje się w Barze, w zawiązku konfederacyi. Konfederacja ta była ostatnim aktem starćj szlacheckiéj Polski — upadek jéj to początek tyloletnich cierpień i mąk narodu. Otóż wśród tego konania starych czasów, Słowacki postawił kołyskę nowéj młodéj Polski, narodzonéj z ducha — a piastunem jéj ksiądz Marek.

Ona tutaj leży w żłobie

(mówi karmelita do marszałka konfederacyi.)

Lecz Polska nie tego wieku,

Żywa, nie przez wasze czyny,
Która będzie żyła wieki.

Ksiądz Marek pełen miłości i poświęcenia, występuje w imieniu téj dzieciny narodzonéj, walczy za nią posiłkowany przez cały zastęp dobrych duchów. Krasiński marszałek konfederacyi, nie przypuszczając możności utrzymania się w Barze, wychodzi z wojskiem ufając więcéj dyplomacyi, niż potędze ducha. W Barze zostaje ksiądz Marek i z garstką mieszczan i ludu odpiera z wałów napad nieprzyjaciela. Ale cudowność jest tu jedynym działaczem, ludzie są bierni, duchy przez nich się objawiają i działają. I tak zwycięztwo zostało odniesione przez współdziałanie dobrych duchów, szczególniéj X. Marka i żydówki Judyty. Oboje przeświadczeni są o téj potędze duchów swoich, których jak miecza używają do walki.

Nu, a ci ludzie nie wiedzą (mówi Judyta.)
Co ja mogę — kiedym sroga,
Co ja wiem od Pana-Boga.
Jaki duch w mojéj osobie.

Daléj opowiada ojcu swemu, jak patrząc z mogiłek na bitwę, zaczarowała zwycięztwo na korzyść obleganych:

Nu — ja tak patrząc z mogiłek
Na te ognie, na tę krew —
Zmarszczyła na czole brew,
Wzięła gliny kilka bryłek,
Wzięła z grobu trochę piasku
I przeciwko temu blasku
Rzuciła — że poszli w nic,
Jak tysiąc zagasłych świec,
Gdy wiatr przeleci bóżnicą.
Bo ja była błyskawicą....
Duchem, co krwią pole broczy.
. . . .
Aniołem na boskich posełkach,
Który piorunami strzela.

Ale tę pracę dobrych duchów niweczy ujemna potęga: Kosakowski. Jest to szlachcic-pijak, zawadyjaka, złodziej publicznego grosza, jedyną jego zasługą męztwo. On został w Barze jako współzawodnik księdza Marka, jako dowódzca. Ksiądz czysty — on skalany; pierwszy duch, drugi zwierzę: pierwszy walczy dla Boga i narodu, drugi dla własnych pasyj i własnéj sławy; pierwszy w Bogu, drugi w szabli moc swoją widzi.

Kosakowski odwagą swoją pomógł wprawdzie do zwycięztwa, ale rozpasaném postępowaniem swojém wnet psuje wszystko — chce zbezcześcić Judytę, starościca występującego w jéj obronie zabija, ojca Judyty powiesić kazał. W Judycie dotkniętéj tém obudza się chęć zemsty, bo ona „żydówka — Judyta".

Patrzaj ty na mnie człowieku, (woła w oburzeniu)
Jestem Izraelitanką.
Mój Bóg nie wisiał na ćwieku,
Nie pił octu, ni piołunów,
Ale stał na wielkiéj górze
Pośród dwunastu piorunów.
. . . .
A jak spojrzy — to się góry pokłonią,
A jak błyśnie — to ślepota na ludy,
A jak zagrzmi — to się groby odsłonią,
A jak zcichnie — świat się cały odmieni,
A skrę rzuci — to świat będzie z płomieni,
I w słoneczne się ognie roztrzaśnie,
A brwi zmarszczy na czole — to zgaśnie,
Jako węgiel pod wodą i syknie;
A gdy rękę podniesie — świat zniknie,
I nie będzie ani mnie, ani ciebie —
Tylko ciemność i sam Pan-Bóg na niebie.

Rzucając mu przed oczy taki obraz strasznego Bo[ga] Izraela, który nie uczył swego ludu przebaczać, a mścić się pozwolił, zrywa się jak wicher zemsty i po[d]nosząc ręce, rzuca przekleństwa przy odgłosie bijący[ch] dział na bitwę, która właśnie odbywa się pod mura[mi] Baru i życzy zatraty tym, których dawniéj wspomaga[ła] duchem:

Ja przekleństwem się nazywam,
I nazywam się zagubą!
. . . .
Bo w tém sercu są wichrzyce,
Co was i rozerwać mogą —
A w mym duchu błyskawice,
Co świat cały mogą spalić.
Bo oto ja tchnęła na pole,
I chorągwie zaczęły się walić,
I wasz duch leży na dole,
A ja stoję tu na górze,
I podnoszę zemsty ramię,
I nogami go depcę i łamię,
I odpędzam precz z pola do miasta.
(bom ja) . . . .
Jest jak miecz, którym Bóg karze,
Jest jak sąd, który Bóg spełnia,
Ten sąd macie chrześciany,
Ja go na was trzęsę z rąk.

Nie może więc zwyciężyć ksiądz Marek, bo wysilenia jego ducha pokonywa przekleństwo żydówki, mszczącéj się za śmierć ojca — i lud cofa się w ucieczce do

miasta. Tak więc dla nieprawości ludzi podobnych Kosakowskiemu, bezsilną jest praca dobrych duchów. A lubo Kosakowskiego wygania potém z miasta ksiądz Marek, mówiąc: „gwałty, morderstwa, grabieże — precz z Polski“ — to jednak zgubnych skutków jego wpływu odwrócić, ani miasta ocalić nie może przed zemstą żydówki, która tajemnym lochem wpuszcza Moskali do miasta. Kreczetenków wchodząc ucieszony do Baru, mówi:

Tak się przez żydów każde miasto bierze.

(Dok. nast.)

O muzyce i niektórych jéj mistrzach.

(Ciąg dalszy.)

V.

Znasz Pani smutne mazurki Szopena, te tańce pełne skarg, w których najgłębsze bole serdeczne czerwone wdziewają buciki i w bachanckim szale chcą się zatańczyć na śmierć! Biedny Szopen, czy to cierpienia jego narodu tak go zasępiły, czy to był tajemny ból nieszczęśliwéj miłości? Kolebkę jego otoczyły gracje błogim czarem, bogowie dali mu co mieli najdroższego: zacność geniuszu. Czego tylko do szczęścia wyższy człowiek potrzebuje, on to miał: laur sławy, szczęście miłości, tarczę przyjaźni, owoce pracy, a przy tém młodość i wdzięk. Nie brakowało mu nic, tylko nerwowego ustroju jakiego marynarza. Biedny Szopen; dusza jego to eolska harfa, na któréj najlżejszy wietrzyk dziwne, nieznane wygrywał melodje; z głębi świętéj ciszy dolatują nas te seraficzne legendy, w których duch przyrody wypowiada nam jakieś zagadkowe proroctwa. Poeta tak niewysłowionéj delikatności i takiego uczucia kolorów, taki najwyższy arystokrata ducha, miał też i swój osobny system nerwowy. Siłę żywotną, którąby skromniejszym usposobieniom na dwa jubileusze starczyła, wyczerpał prędko. Godny zazdrości, bo nie długością mierzy się życie ludzkie. Największe szczęście na ziemi: żyć duchem i stworzyć nieśmiertelne dzieło.

Szopen miał to nieszczęście, że stał się popularnym, nazbyt popularnym; nie ma salonu gdzieby go nie fałszowano, najfałszywiéj i najdowolniéj tłómaczą go sobie. Jego nadobność biorą za chęć podobania się, swawolność za bezwstyd, uczuciowość Szopena posuwają do miękkiéj zniewieściałości — a gienialne jego utwory oddają trywialnie. Tylko ten, kto umie jeszcze płakać i rumienić się, kto w końcach palców czuje bicie swego serca, zdoła grać Szopena. Jakiż to tajemniczy urok w tych utworach, kiedy nawet bezpoetyczny świat „wyższych ignorantów“, jak nazywa pani Viardot świat wyższy, otworzył im drzwi. Owe sfery, zkąd wygnane wszystko co klasyczne, i gdzie uchodzi za ambrozją wszystko co nie pieprzne i nie słone, przyjęły Szopena. Lecz zamiłowanie Szopena jest owocem instynktu raczéj, jak sądu — zrozumienie tego co jest najszlachetniejszém w jego gieniuszu, dostępne jest tylko małéj liczbie wybranych.

Nazwano Szopena chorym. O tak, był on chory tak, jak najwięksi poeci, jak Byron, jak Szuman. Była to natura tak poetyczna, że w jego ręku nawet etuda staje się poezją. Największe z nich Cis i A-(moll), widocznie są tylko w celach techniki pisane; ale niechno je kto gra z zupełną swobodą, a przyzna, że literatura fortepianowa nie wiele ma rzeczy bujniejszych i namiętniejszych. A jakaż tam zadziwiająca oryginalność. Każdy takt, to jakaś nowość i dla muzyki i dla gry — bo też jest on twórcą zupełnie nowego świata i życia fortepianowego. Jakżeż nudnym jest styl wszystkich jego poprzedników — z wyjątkiem Beethowena, całe litanje zużytych, osłuchanych form, jałowe, prozaiczne dzwonienie. Jakżeż tu inaczéj. Czy słyszałaś Pani kiedy, żeby słowik tak sennie, tak księżycowo zawodził, jak melodje w *nocturnach.* Czyż cacka filigranowe, arabeski maurytańskie uprzędły coś tak nadzmysłowo cienkiego, jak te jego fantazje! A posłuchaj pani tych wielkich, miłosnych pieśni i popatrz w oczy jego niebiańską namiętnością płonące, i błyskawicami napojone!

„Przy ogniu, co w moich
„Piersiach się pali —
„Słońce ledwie iskrą
„W powietrznéj dali“.

To też umarł on ogniową śmiercią poetów. Spoczywa pod palmami, na jego grobie kwitną róże. — W majowéj nocy, oddychającéj wonią i księżycowym blaskiem, siedziałem tam senny w szmer drzew zasłuchany. Dolatywały mnie przytłumione tony owego pogrzebowego marszu, który sobie sam napisał; ciemne basy w żałobnych fałdach, których pochód chwiejny wstrzymują łzy. Nie wiem jak tam długo siedziałem, mając śmierć u stóp, i omal byłbym przeoczył, że w cieniu cyprysów klęczały dwie dziwne postacie, jak gdyby na tém miejscu pełniące służbę zakonu miłości. Jedna była rosła, przezroczysta, jak sen nocy letniéj, a na włosy miała zarzuconą świecącą siatkę. Druga była więcéj z tego świata, z pełną piersią i bujnemi ramiony — na obliczu jéj leżały dzieje szczególnéj boleści, wypisane cudownemi motywami. Promień księżyca upadł jéj do nóg, i przeląkłem się wielce, bom ujrzał na jéj nóżkach czerwone buciki.

VI.

Uczucie piękna, a raczéj sąd o nim wyrabia się przez wykształcenie — to pojęcie piękna zdobywamy sobie własną pracą. Pierwszemi krokami naszemi kieruje p o w a g a innych ludzi; zanim sami możemy poznać i samodzielnie sądzić, wierzymy innym. Zwolna

przez porównanie uczymy się sądzić, aż dojrzejemy i ze świadomością poczynamy pytać o przyczyny. Jeżeli jesteśmy wstanie wypowiedzieć, dla czego jakaś rzecz jest piękną lub brzydką — wtedyśmy ją zrozumieli.

Muzyka przyszłości rozpoczęła swój debiut bez powagi wielkiego imienia, któreby nam o niéj dały zdanie. Smak nasz zostawiony był tutaj samemu sobie. Któż jéj twórcą? Zapomniano, że ta muzyka jest prawie córką Berlioz'a; że tam jest jéj pierwotne źródło, zkąd wypłynęły pierwsze pobudki do zakreślenia nowych torów sztuki. Jak to zwykle bywa, że wobec córki zapominają o ojcu, tak téż i dla téj cudownéj muzyki i jeszcze dziwniejszych jéj zalotników zapomniano o biednym fantastycznym Berliozie. A jest on jednêm z najciekawszych zjawisk w naszych czasach. Fantazja jego dziwaczna, bujna, tropikowa; ma on wrodzony zmysł orkiestralny, heroicznie-namiętny, sennomiękki, wpadania jego muzyczne i kombinacje są tak obfite, że aż do marnotrawstwa posunięte, a jednak całość bez planu, zależna od grymasu, który jak klątwa unosi się nad jego utworami. Duch Berlioz'a nie lubi granic, rwie się ku ostatecznościom; i w partyturach jego błądzimy między trzeźwością a samowolą, między rozkoszą a srogością, między dowcipem a ascetyzmem. Niczém okropności Balzaka, Salwatora Rozy w porównaniu do burzy tonów w jego utworach, najfantastyczniejsze pomysły Hofmana nie dochodzą do téj rozbujałości, jaką widzimy w Borlioz'a w nocy w Walpurgu. W utworach jego widzisz spadające gwiazdy, to znowu cisza i zamyślenie, albo polonez z błędnych ogników, lub koncert chrząszczy; — to znowu morze huczy, ziemia się trzęsie, powstają gorące zaczerwinione mgły i kładą się jakby wulkaniczna aureola około instrumentów. Cyklop ten umie być i elfem. Słychać tam muzykę komarów, szarańczy, skrzypki są osnute pajęczyną, a fujarki ze trzciny. Trudno mieć pojęcie o delikatności téj muzycznéj mowy. Wyznania róż, narzekania fiołków są hałasem wobec téj eteryczności i ciszy.

Jednym z najpiękniejszych jego utworów jest uwertura Cellini. Czuć mimowolnie, że obszarem Berlioz'a jest orkiestra bez słów. Wagner potrzebuje koniecznie słowa, więcéj nawet, bo potrzebuje sytuacyi. Tylko, kiedy go sytuacja porywa, staje się wzniosłym.

VII.

Przechodzę teraz do dwóch ludzi, którzy w ostatnich czasach trzymali berło w świecie muzycznym. Jeden z nich zmęczony pisaniem partytur i pierwszemi przedstawieniami zasiadł syt sławy w ogrodzie zimowym, który sobie z swoich laurów założył, zapija wyborne *bordeaux* i boi się śmierci; bo za grobem możeby znowu od początku musiał zaczynać. Około jego uszu wiją się zygzaki złośliwego dowcipu, jego *crescenda* wyszalały się już w rozkosznych zawieruchach i jedynemi teraz przykrościami jego życia są: kolej żelazna, któréj świstu nie znosi, i niestrawne jedzenie.

W napół wygasłych oczach drugiego błyszczał aż do końca życia pożerający ogień sławy, wężyki zmarszczek od pracy i trosk poorały mu uwieńczone czoło, niezadowolone serce wzbierało wiecznie falami tęsknoty; gdyby mu słońce i księżyc i gwiazdy do stóp upadły, konałby z pragnienia żeby i ziemię posiąść.

Pierwszy z nich Rossini, to realizm w własnéj osobie; w partyturach jego dyszy niepowściągniona, jasna, naiwna zmysłowość włoskiéj natury, jest to typowy wyraz południowéj uciechy życia i utonienia w użyciu chwili.

Drugi Mayerbeer, lubi półcień, noc, księżycowe światło i blask balowéj sali.

Muza tamtego jest naga, tego zasłonięta i unika nieznośnéj jasności dziennego światła. (Dok. n.)

RÓWNIANKA.

Dziś, kiedy Matka po długiém konaniu
Powtórnie legła w poczerniałym grobie;
Gdy tysiąc matek, tysiąc żon w żałobie,
I krocie braci jęczą na wygnaniu —
W téj tak brzemiennéj w łzy i bóle dobie,
Jakąż równiankę przyniosę tobie?...

Chyba pozbieram kwiatki na grobie
I niemi czoło twoje ozdobię?
Chyba pozbieram łez gorzkich zdroje
I niemi serce twoje napoję?

O strój się siostro w kwiatki grobowe,
Łzami oblewaj grzechy rodowe;
Naciągnij czarną grubą żałobę,
I zmień się w posąg łzawéj Niobe —

Ufaj i módl się, a z wiarą czystą
„Przed oczy twoje“ zanuć z Psalmistą,
Może modlitwa sierocéj duszy
Odwróci klęski, niebiosa wzruszy,
O módl się siostro, bo z téj topieli
Ten tylko chrztem się wolność zmyje,
Kto do chrztu tego przystąpi w bieli,
Kto puhar bólu do dna wypije.

Z PRZYRODY.

O KAWIE. (SZKIC.)

„Ah! malheureuse, que je suis! — vite du café“.
(pewna pani, dowiedziawszy się o śmierci męża.)

Nieodzownym warunkiem życia jest pożywienie i napój; lecz mierność w wyborze wszelkich środków podtrzymuje zdrowie, przesyt, lub nieumiętne używanie pokarmów i napojów jest początkiem samobójstwa naszego. Wielką tu mistrzynią jest natura, która w miarę potrzeb ciała obudza w nim pewne instynkta, a gdy i te zepsute mylić zaczną, przyzwyczajenie i nawyknienie jeszcze organizm chronią od wczesnego upadku.

Z coraz szerszém poznaniem przyrody, wśród któréj tylko szukać winniśmy życia naszego warunków — zbudzony zmysł smaku wybiera w miarę swych potrzeb coraz nowe wyżywienia środki; „jesteśmy, jak powiada stary uczony lekarz Boerhave, — roślinami, których korzenie spoczywają w żołądku“.

Pokarmy ludzi i zwierząt dzielą się na dwa wielkie działy, z których jeden służy do właściwego wyżywienia i odtwarzania części stałych naszego organizmu, drugi jest powyższego procesu pośrednikiem, mając krom tego inne jeszcze cele.

Nieustanne badania naukowe rozwięzują nam wszystkie dawne zagadki spraw cudownych żołądka.

Chemja nam wykazała, że wszystkie części roślinne, które stosowne są dla nas jako pokarm, rozszerzają pewien zapach właściwy, po którym łatwo je poznać można. A wszystkie zawierają już w sobie pewne istoty pierwiastkowe, które w krwi naszéj znajdujemy. Istoty roślinne, które w ciele zwierzęcia służą do odtwarzania krwi, zawierają już same w sobie niektóre jéj składniki. Pożywność więc roślinnego pokarmu stoi w prostym stosunku do ilości tychże składników w roślinie.

Lecz jak jedne, mianowicie mięsne potrawy, służą do odżywienia ciała i krwi — tak inne, mianowicie niektóre roślinne, bądź proces ten podtrzymują, bądź téż do innych służą celów, naprzykład: wpływają na czynność nerwową w mechanice naszego ustroju. Do tych ostatnich zaliczamy kawę, herbatę itd.

Poznanie kawy u nas, mamy według jednego z podań, zawdzięczać misyonarzom w Arabii, którzy gdzieś tam przespawszy się raz w oborze śród kóz, ujrzeli, jak te ogryzłszy ziarnka drzewa kawowego, w wesołych pląsały skokach.

Jak bądź, ów napój, który Francuzi zowią: *boisson intellectuelle*, kawa, przybyła do Europy, a mianowicie najprzód do Konstantynopola, w połowie wieku szesnastego, gdzie użycie jéj niesłychanie szybko się rozszerzyło. Na początku wieku siedmnastego stanęła pierwsza kawiarnia publiczna w Londynie, wkrótce potém w Marsylii. Równocześnie liczono już jednak w Egipcie w Kairze, tysiąc przeszło kawiarń publicznych. Od tego czasu użytek kawy coraz bardziéj się rozpowszechniał.

Podczas odsieczy Wiednia przez Sobieskiego, miał tam kawiarnię pierwszą Polak Kulczycki. Jest ona do dziś dnia w tém samém miejscu.

Już w r. 1832 wynosił wywóz kawy do Europy 3 miljony centnarów, w wartości 54 milionów talarów. W r. 1664 złożyła kompania wschodnio-indyjska Karolowi II. w prezencie dwa funty herbaty, tymczasem w r. 1852 wynosiło jéj użycie 35 mil. ℔.

Drzewo, które prawdziwéj kawy rodzi owoce, rośnie w południowéj Abyssynii, w okolicy Cuarea i Caffa; rośnie tam wszędzie i pokrywa nawet skaliste płaszczyzny. W Persyi znane jest od roku 875. Dopiero na początku wieku XV. sprowadzono do Arabii. Tu przyjęła się niesłychanie i dziś najlepsze rodzi owoce.

Ziarnka arabskiéj Mokki są małe i barwy ciemnożółtéj. Kawa wschodnio-indyjska, czyli tak zwana Java, ma ziarnka większe i jaśniejszéj barwy. Zachodnio-indyjska, czyli brazylijska, inaczéj Ceylon zwana, jest barwy błękitnéj, lub szaro-zielonéj.

Jeżli weźniemy pod uwagę, że w Europie i Ameryce ośmdziesiąt przeszło milionów funtów herbaty, a w świecie całym przeszło 60 milionów funtów kawy rocznie wychodzi; — że w Anglii i Ameryce herbata jest częścią codziennego pożywienia najuboższego wyrobnika; — że w Niemczech lud po wsiach i miastach tém uporczywiéj trzyma się kawy, im bardziéj nędza ogranicza wszelki wybór środków wyżywienia — i że najskromniejszy zasiłek dzienny zawsze jeszcze w jednéj części składa się z kawy, a drugą dopiero stanowi chleb, lub ziemniaki; to wobec tych spostrzeżeń z trudnością utrzyma się zdanie: że użytek kawy i herbaty jest rzeczą prostego przyzwyczajenia.

Prawdą jest niezawodnie, że tysiące milionów ludzi żyło, nieznając kawy i herbaty, a codzienne doświadczenie uczy, że stosownie do okoliczności, można się wybornie bez nich obejść, a nie wywrze to na sprawę życia szkodliwego wpływu; ale fałszem jest niezawodnie wnosić ztąd, że w ogóle ze względu na ich skutki, obejść się bez nich można — a bardzo ważném jest pytanie, czy gdybyśmy nie mieli kawy lub herbaty, instynkt ludu nie wyszukałby i nie wynalazł środków, któreby tamte zastąpić mu mogły. Umiejętność, która pod temi względami wiele nam jeszcze winna, dopiero zapewne wykaże, czy to na złych tylko polega skłonnościach, że każdy na ziemi naród przyswaja sobie pewne środki, nerwowość pobudzające — zacząwszy od brzegów Cichego-Oceanu, gdzie Indjanin na długie dni opuszcza pracę, aby się odurzyć szczęściem, tj. wymokiem koki, aż do okolic podbiegunowych, gdzie Kamczadale i Korieki z jadowitych, gębczastych porostów przyspasabiają sobie napój drażniący.

Przeciwnie; bardzo jest prawdopodobném, że instynkt ludzki w poczuciu pewnéj próżni i pewnych potrzeb spotęgowanego życia w czasach obecnych, które ilością nie mogą być nasycone, właśnie w tych wyrobach życia roślinnego znalazł był środki, ażeby swym codziennym strawom stosowną dać przyprawę. A każda istota, o ile należy do procesu życia, działa także w pewien sposób na nasz system nerwowy, na zmysłowe skłonności człowieka i na wyrób jego woli.

Macaulay, wielki badacz na polu historyi, uwzględnił zasłużenie w dziele swém klasyczném, wpływ kawiarń na stan polityczny Anglii w wieku siedemnastym, jednakże nie rozwiązał jeszcze pytania, jaki to udział brały części składowe kawy w ówczesnym kierunku duchowym.

Mało co więcéj wiemy o skutkach fizjologicznych tych napojów; zwykle polegać one mają na pierwiastku w nich zawartym, tak zwanéj Theinie (toż samo, co Caffein w kawie), jednakże nie ma innych żadnych napojów, któreby w swych połączeniach i w pewnych swych składnikach więcéj miały podobieństwa do rosołu, jak herbata i kawa i jest bardzo prawdopodobném, że użytek ich jako części pożywienia polega na skutku pobudzającym i ożywczym, jaki wywierają napoje te wspólnie z mięsną polewką.

Według swych własności należy Theina do zasad organicznych, które wszystkie bez wyjątku wywierają pewien wpływ na system nerwowy. Kawa posiada tę własność, iż wstrzymuje i znosi proces trawienia i rozkładu. Osoby ze słabym albo czułym narządem trawienia łatwo bardzo mogą zauważyć, że filiżanka mocnéj kawy po objedzie wstrzymuje natychmiast trawienie; dopiero gdy kawa została wessaną, lub oddaloną, nastąpi ulga w zmiankowanym procesie. Silnym narządom trawienia służy kawa po jedzeniu z tych samych powodów, ażeby przez wino, lub przyprawy korzenne podnieconą zbyt czynność żołądka trochę złagodzić. (Liebig. *Chemische Briefe. 1865. 32. Brief.)*

Lecz kawa zawiera także oprócz coffeiny lotny a wonny olej, który podczas jéj palenia dopiero się jawi.

Wpływ tego lotnego pierwiastku na czynności żywotne ciała był także przedmiotem rozlicznych starannych naukowych poszukiwań. Słynny chemik Lehmann znalazł, że zmniejsza utratę tkanin mięsnych w tym stosunku co coffeina. Ma przytém sprawiać przyjemne nerwowe podrażnienie, przytłumia uczucie głodu i pobudza trzewia do czynności. W swym wpływie na mózg i jego czynności mniéj ma sprzyjać fantazyi, aniżeli ścisłości rozumu.

Wszystkie te skutki następują, jeżli nie większa ilość oleju tego jak w mniéj więcéj czterech łutach kawy dziennie pożytą zostanie; w przeciwnym bowiem razie sprawia silne poty, sprowadza bezsenność i niebezpieczny nawał krwi.

Nie ulega wątpliwości, że ten empyreumatyczny olej palonéj kawy sprawia silny wpływ na całą czynność wszystkich naczyń i nerwów — lecz zawisło to od sposobu palenia kawy i przyspasabiania z niéj napoju.

Kawa, (po arabsku *Kahoné*, co znaczy siła), traci bowiem tę moc, smak i dobroć, choćby była mokką, jeżli gorąco użyte przy jéj paleniu nie jest stosowne; jéj najszlachetniejsza i najwonniejsza część ginie przy silném jéj paleniu.

A jednakże gospodynie nasze ogólnie palą ziarnka kawy, aż dopóki te nie zczernieją, w tém mniemaniu, że im kawa czarniejsza, tém i napój smaczniejszy. Tymczasem tak palone ziarnka są całkiem zwęglone, a jéj najszacowniejsze składniki przepadają.

Mówiąc o nieudólném jéj przyspasabianiu, nie można zamilczeć o dziwném przyzwyczajeniu łączenia kawy z innemi przymieszkami, a najpowszechniéj z cykorją; źle zrozumiana oszczędność i nieświadomość opiekuje się tym zwyczajem. Już w ogóle, jak się dowiemy poniżéj, dostaje się do nas rodzaj kawy najgorszy, jednakże i téj jeszcze smak i wpływ całkiem ginie w takiém towarzystwie. (Dok. n.)

KORESPONDENCJE.

Paryż (z wystawy świata).

Spotkałam wczoraj na wystawie Waszego Korespondenta z książką notatkową. Skorzystałam z tego spotkania, bo żądałam, aby z prawa grzeczności ustąpił mi pierwszeństwa — rozpoczęcia sprawozdań z wystawy. Zaczynam więc. Będzie to zapewne bez ładu i porządku, tu skubnę, tam urwę, więc właściwym sprawozdaniom nie wejdę w drogę; a zapewnie zato napiszę o tém, na czém się pan Korespondent nie rozumie, a co mnie zachwyca i upaja. Zacznę jako pół-paryżanka od rzeczy, które wam się nieco *frivoles* wydadzą, które jednak bądź co bądź z mocy społecznych stosunków, wychowania, przyzwyczajenia, skłonności, Czytelniczki Wasze blizko obchodzą — zaczynam od mody i drobiazgów fantazyi. Więc najpierw roboty włóczkowe, hafty — bo wszak i w tych drobiazgach jest świadectwo mozolnéj pracy rąk ludzkich, a więc zasługują na uwagę. W oddziale Francyi, która ściśle połowę pałacu dla siebie zajęła, są w tym rodzaju przedmioty, istne dzieła sztuki, niespodzianéj piękności, mistrzowskiego wykończenia. Wystawa pani Thorel jest mała, ale niemniéj cudowna. W odległości sześciu kroków trudnoby sobie odpowiedzieć, czy to obrazy olejne, czy hafty przed nami. Oto najpierw kopia obrazu Gerarda z galeryi w *Versailles*, przedstawiająca Napo-

leona I. Czystość kolorytu, wierność oddania, przejścia i zlewanie się barw, nie do uwierzenia; dosyć powiedzieć, że sama twarz robiona jest 72 gatunkami czerwonéj włóczki. Tunika z białego atłasu, olśniewający hermelinowy płaszcz z koronacyjnego ornatu, wytrzymują współzawodnictwo z pendzlem malarza. Nic nie przepomniano, najmniejszy fałdzik, najdrobniejszy szczególik wykonany z zadziwiającą dokładnością. Kosztowne ramy, otaczające ten haftowany obraz potęgują jego plastyczność.

Obok widzimy bardzo piękny kredens Ludwika XVI. Rysunek haftu jest również kopią obrazu, koszyczek z kwiatami; ułożone są arcyzgrabnie i całkiem naturalnie cieniowane.

Pani Thorel wystawiła również nowy rodzaj kwiatów wełnianych i papierowych, nieznanéj dotąd doskonałości. Sztuczne kwiaty francuzkie, począwszy od woskowego pozoru orchideów i róż, aż do rezedy i bratków, graniczą o cudowność, wyrównują naturze. Są tam georginije, których liście wyglądają niby aksamitne, najżywsze tulipany, najświeższe róże i mnóstwo, mnóstwo innych. Zdaje się, że to plusz aksamitny, a to wełna, lubo ani jednéj niteczki dostrzedz nie można, tak delikatnie strzyżona; cienki meszek w wszelkich kolorach i półkolorach. Ułożone są te kwiaty w gustownym koszyczku hebanowym, z ozdobami z słoniowéj kości. Inne są na poduszce z białego *Pou-de-soie*, a wśród nich istnie żywy rajski ptak.

Jest tam daléj haftowany obrus, w smaku z czasów Ludwika XV. Szare amorety i girlandy na jasnoniebieskiém tle. Nie ma kobiety, któraby się temu z przyjemnością nie przypatrywała. W tym samym oddziele są roboty passamonikowe, szmuklerskie, tak teraz modne; są tu pyszne przody płaszczów, kwiaty, arabeski, garnitury w całości na stan, gors, plecy, rękawy, kieszenie.

Podziwiałam też gładkie kaszmirowe szale — desenie na nich, arabeski, bordiury, liście z jedwabiu i sutaszu. Płaszcze haftowane są przepyszne, Ubiór dworski z białego gras grainu, z wycinkami i obsadą z jedwabiu złocisto-zielonego, na których znowu haftowane białym jedwabiem kwiateczki, serca, liście. Biała tiulowa suknia, haftowana czarnym jedwabiem, i białemi perłami, które mi przypomniały ornat królowéj Jadwigi na zamku, na dole wdzięczna girlanda z róż i dzwonków. Inna z białego tiulu, przetykana naturalną słomą, od dołu pyszne kłosy żytne, również z naturalnéj słomy, pośród nich jedwabne fiołki z liśćmi.

Zupełnie nowe są koronki — giberville nadają tiulowym sukniom przyśliczny efekt i układ; ubierają niemi i kapelusiki.

Zupełnie nowe są również giupiury z kolorowéj owczéj wełny.

Świetna jest osobna wystawa koronek; suknie, szale, burnusy, welony; obok tego hafty z Nançy, negliże ranne, paniury, korsety nocne, chustki, wszystko to takie, że odpatrzeć się trudno.

Pióra grają wielką rolę w toalecie. Widziałam suknię z białych piór z czarném nakrapianiem, ubraną w koło wieńcami kwiatów z piór kolorowych naturalnych, garnitury z białych piór na sukniach z niebieskiego jedwabiu, z czarnych na białym; pyszne hafty z piór na tiulu z frandzlami ze skubanych strusich piór, peplusy i staniki całe z piór.

Miasto Lion wystawiło wspaniałe jedwabne materje. Widziałam też szczególne parasolki ozdobione liściami, dzwonkami, frandzlami, uwitemi girlandami. Jest i parasolka papieża, z białego jedwabiu z złotemi frandzlami. Na białém tle jest 12 medalionów apostołów — malowane; rączka złocona, kończy się u góry złotym krzyżem na kuli. Używa on jéj przy procesjach.

Błądząc wśród téj mieszaniny świetności i kolorów, natrafiamy znowu na kwiaty papierowe. Tu róże, które już więdnąć się zdają, z opuszczoném liściem, tam wpółotwarte pączki, które się mimowolnie powąchać zachciewa. Całe murawy fijołków w prawdziwéj ziemi kamelie, pomorańcze kwitnące, złote laki, istny targ ogrodniczy.

U nas w kraju wyrabiają dużo papierowych kwiatów, każdy kościół jest niemi ubrany — ale nikomu na myśl nie przyszło, że wyrób ten wydoskonalony może być towarem, na który jest wielki odbyt, że więc może być wcale zyskowną i łatwą gałęzią zarobku, mającego jeszcze i tę zaletę, że się odbywa w domu. Dziewczęta miejskie i wiejskie powinny w szkołach téj pracy się uczyć, a stowarzyszenia kobiet powinny w swoich sklepach te prace sprzedawać.

Oto oddział zabawek i cacek dla dzieci; całe towarzystwa lalek: dworskie, miejskie, automaty, gry, żywe obrazy, tysiączne wymysły, które spamiętać i opisać trudno, a wszystko miłe i eleganckie; a jakkolwiek to drobiazgi, jednak nie zapominajmy, że z tych prac właśnie maluczcy i ubodzy żyją.... Ah widzę, że już zaczynam być poważną, — a ja tylko trochę wygadać się chciałam — i lżéj mi teraz. Do widzenia.

J.

Przed kilku laty wspominał „Dzwonek“ i „Dziennik literacki“ o samorodnym pieśniarzu ***Józefie Ślusarczyku.*** Mieszka on w Rudnie, u stóp ruin zamku Tenczyńskiego — dawniéj parobek, obecnie gospodarz, układa sobie pieśni proste, szczere, pobożne, a narodowe, zwykle na jaką znaną nutę. Chodził on zaledwo dwie zimy do szkoły. Podajemy tu wyjątki z wierszy jego, które nazwał: **Pieśni nowe.**

Jakże daléj będzie z nami polskimi synami,
Kiedyż sława po pradziadach prawnuków okryje —
Dokądże się wróg zawzięty będzie mścił nad nami!...

Czas ocucić się z letargu, woła Pan-Bóg z nieba,
Zerwać powłokę ciemności — złączyć dłoń braterską,
Nie dać na ojczystéj ziemi zjadać wrogom chleba....
Jeszcze żyje Pan-Bóg w niebie, słyszy płacz swych dzieci,
Widzi ucisk polskich synów, policzył mogiły....
Choć się ruszy wojska rzesza całéj Europy,
Chytre wrogi ostrzą rogi bóść o Polski łany,
Niechciéjmy mieć w niepamięci, żeśmy polskie chłopy,
Trwajmy w wierze, brońmy szczerze ojczyzny kochanéj —
Bratnia miłość, ufność w Boga, męztwo w serca wpaja,
Łączy w jedność wspólny naród, a wytępia zwady....
Ale dokąd zdrada mieszkać będzie w polskiém siole —
Dotąd musim w sieci wroga jęczeć udręczeni,
Nic pomogą nasze prośby, ani ciężkie żale,
I w skończeniu życia biegu nie będziem zbawieni....

O wielki Boże!
Rozmnóż w nas wiarę, skrusz dumę wroga, nie karz na dłużéj za złości,
Miéj Twe oblicze ku nam zwrócone, złącz serca w jedność miłości —
Pohamuj gniew Twój, wstrzymaj Twą rózgę, nie racz nam dłużéj pamiętać,
Nad krnąbrną dziatwą pokaż Twą łaskę, nie daj nas dłużéj wytępiać—
O wielki Boże! prosimy Ciebie — wysłuchaj nasze wołanie,
Nie opuszczaj nas w każdéj potrzebie, daj nam do końca wytrwanie,
A my ci za to śpiewać będziemy: chwała bądź Panu nad Pany.
Byśmy się tylko z dręczeń wyzuli, z wroga, szubienic, powroza —
To będzie sława po ziemskiéj kuli slynąć od morza do morza....

Postacie podobne są pośród ludu naszego, niby oazy i ożywcze źródła. Ślusarczyk cieszy się zaufaniem swoich współobywateli, jest radnym gminnym i delegowanym do „Krzeszowic“.

Niedzielni goście z Krakowa odwiedzający Tenczynek, uczyniliby bardzo dobrze, gdyby odwiedzali Ślusarczyka i zaopatrywali go w stosowne książki, których mu brak i o które prosi dla siebie i swoich. Byłyby to ziarna, o których przyjęciu nie ma wątpliwości

„Sokół“ w Krakowie. Pod kierunkiem zarządu towarzystwa „Sokół“ odwiedzili Lwowianie Kraków i okolice. Bawili u nas trzy dni. Kilka przyczyn zebrało się na to, że Kraków te odwiedziny miłych gości zrazu nieco zimno przyjął. A najpierw jest Kraków zwykle ociężały i w sobie zamknięty, a obecnie jeszcze z powodu pory kąpielowéj wypróżniać się począł. Odwiedziny wypadły trochę nagle, tak, że nie można było od razu się porozumieć ktoby właściwie gości przyjmować powinien, czy resursa miejska, czy jakie towarzystwo, czy nikt.... Podawano sobie nawet na ucho obawy: „zobaczycie że oni tu jakiegoś piwa nawarzą“. Nie pomagało tłomaczenie, że „Sokół“ jest to sobie niewinne gimnastyczne towarzystwo, mające za jedyny cel fizyczne zdrowie i siłę pokoleń — kiwano głowami dwuznacznie. Znajomi nie obawiali się wprawdzie być uprzejmymi, ale dopiero po wieczornem w drugim dniu odwiedzeniu resursy miejskiéj przez naszych gości ogół więcéj się z niemi oswoił i nareszcie trzeciego dnia Kraków nieco się rozruszał. W wycieczce wspólnéj do Wieliczki wzięło udział przeszło 600 osób — wspólny objad za powrotem odbył się wśród serdecznéj toastowéj pogawędki i wesołości, a wieczorem za odjeżdżającémi posyłały tłumy ludu głośne „niech żyje“ i „dowidzenia“. Odwiedziny wzajemne miast, tak częste obecnie po całym świecie, a które można uważać za nowy rodzaj ludowych uroczystości, rozpoczną się zapewne i u nas za przykładem „Sokoła“, czego sobie téż życzyć należy. Ochota do wzajemnego zbliżania, ożywienie towarzyskiego ruchu są pierwszemi objawami społecznego zdrowia. — Wielu członków resursy miejskiéj podało żądanie do wydziału o urządzenie podobnéj wycieczki z Krakowa do Lwowa, co ma w jesieni nastąpić. Owe pożegnalne okrzyki „do widzenia“, są wymownym głosem, że myśl ta w całém mieście znajdzie ochocze poparcie. Również ogólne jest żądanie, żeby w Krakowie założyć „Sokoła“. — Jak w rzeczach oświaty i produkcyi przemysłowéj tylko stowarzyszenia na własnych siłach oparte, mogą poradzić na naszą ciemnotę i biedę — tak téż tylko stowarzyszenia gimnastyczne mogą zastąpić braki, a raczéj zupełne zaniedbanie wychowania fizycznego u nas. Cieszymy się wielce, że „Sokół“ lwowski liczy już kilkadziesiąt uczennic, i że inne miasta, jak Stanisławów, zawięzują już podobne stowarzyszenia.

W Krakowie rozwija się bardzo zbawienna instytucja „ochotniczéj straży ogniowéj — nie wynikłaby jednak ztąd żadna konkurencja z „Sokołem“. Do straży mogą bowiem należeć tylko zupełnie zdrowi i silni ludzie, jest tam pewna wojskowa organizacja; odrębna nauka i poświęcenie — bez tego nie byłaby ta straż użyteczną, ale téż przez to nie może być powszechną, „Sokół“ mógłby wybornie objąć i młodych i starszych i płeć żeńską — i nietylko że nieprzeszkadzałby straży, ale owszem mógłby jéj coraz nowych ochotników przysposabiać.

W społeczeństwie takiém jak nasze, w którém ślimaczy się jeszcze mnóstwo przesądów i różne zastojałości zawalają drogę postępowi, mają podobne towarzystwa jeszcze i tę zasługę, że otwierając każdemu wolny przystęp, niwelują pozorne, powierzchowne różnice, przeprowadzają w praktyce zasadę równości praw i łączenia sił. Poznali to dawno Niemcy, poznali Czechowie, czas i nam poznać.

— Ogólne niemieckie stowarzyszenie kobiet (allgemeiner Frauenverein) odbyło w Zielone-Święta walne zgromadzenie w Lipsku. Obradowano nad różnemi statutami i czynnościami podrzędnych miejscowych stowarzyszeń. Liczba członków z 34 wzrosła już w tym roku do 130.

MODY.

Krótkie letnie paletociki są ciągle używane, lecz opisując je pomijamy wszelkie dzikie kształty i drobiazgowe wyszczególnienia, ząbków i wisioreczków, któremi są przyozdobione, wnosząc iż każda kobieta z dobrym gustem podobnych strojów nie używa, które raczéj do błazeńskich kurtek są podobne. Dobry gust odznacza się wyborem kroju i sposobu ubrania, który może być skromny jednak elegancki i modny. Pomijamy więc niektóre modele paryzkie i berlińskie, podając tylko co lepsze i gustowniejsze. Każdą modę można zastosować tak, by nie raziła dobrego gustu, a jednak wszelkie jéj szczegóły zachowane były, przekonani jesteśmy, że panie nasze rozumieją to dokładnie, również uznają same, że każde przesadne ubranie nie jest wcale do twarzy. Dla tego często osoba ubierająca się skromnie ale gustownie uchodzi za wzór mody, a inna która chociaż kosztownie się stroi, nie zwraca na siebie niczyjéj uwagi.

Wszelki choć najlepszy krój traci, gdy go zbytecznie przyozdobimy.

Powyższą wzmiankę, ocenią czytelniczki z opisu dołączonéj ryciny. Podaliśmy dawniéj kilka opisów paletotów i katanek, teraz przechodzimy do sukien, z których dwie Nr. 1 — 3 do eleganckiéj toalety należą, a przy których główną role ma dobry krój stanu, w połączeniu z spódniczką krótką w rodzaju tuniki, która zastępuje zarazem paletocik. Moda jest tak wybredna, że nie dosyć mieć jedną długą suknię, potrzeba na nią drugą krótką, z przodu otwartą. Obiedwie spodnice są krajane bez fałdów w kliny, resztę ubrania okazuje dokładnie rycina. Środkowa osoba nosi strój elegancki do wyjścia. Zwracamy szczególniéj uwagę na niezwykły sposób dra-

powania wierzchniéj sukni, jako téż na oryginalne ubranie paletociku.

Także formy kapeluszy paryzkich są na tym pięknym obrazku bardzo zrozumiale przedstawione.

OPIS KROJÓW.

Fig. 1—6. **Ładna katanka w dwojakim sposobie.** Fig. 1—3 przedstawia krój katanki w zmniejszeniu, można go na każdą osobę powiększyć, używając dokładnéj miary i sposobu zwiększenia, to jest nie zmniejszonéj miary połowy szerokości piersi i dzieląc ją na 48 części. Gdy już dokładny krój posiadamy, możemy podług Fig. 4 lub 5 i 6 gotową już katankę przybrać. Przy Fig. 4 jest ukosami jedwabnemi i szutaziem naśladowana kamizelka. Fig 5 i 6 przedstawia zupełnie spiętą katankę z jasnego korciku ubraną ukośną materją i szutaziem, przy któréj są dodane podłużnie paciorki czarne, jakotéż gruby sznur z kutasami, który na Fig. 6 z przodu i z tyłu widzimy. Katanka jest jasnego koloru, ubranie cokolwiek ciemniejsze. Można także na katankę użyć ciemniéjszéj materji, a ubranie dać całkiem białe. Ładne są także takie katanki z czarnéj materji, atłasu lub aksamitu.

Fig. 7—13. **Krój stanu w naturalnéj wielkości.** Widzimy nie tylko dokładny krój stanu Fig. 7—9, ale czworaki sposób ubrania Fig. 10—13. Stan Fig. 10 ubrany gipiurami, ma pod szyją krawatkę tiulową w kształt liścia dębowego wyciętą, a na ramionach epouletty. Fig. 11. Stan ubrany szutaziem i paciorkami przeciwnie, Fig. 12 na czarnym jedwabnym staniku wyszycie białe za pomocą maszyny. Wreszcie Fig. 13, stan wyszyty czarnym szutaziem i białemi nie zbyt małemi paciorkami. Kękaw Fig. 9 ubrany jest aksamitem czarnym, niebieskim lub fiołkowym wycinanym w desenie, a zakończonym czarnym szutaziem.

Fig. 14 i 15. **Nowe wyszycia.** Fig. 14 w **naturalnéj wielkości** przedstawioną jest z drobnych paciorek, wyszyta do różnego użytku stosowna. Fig. 15 jest wyszyta maszyną do szycia cienkim jedwabiem, brzegi deseniami są ściegiem łańcuszkowym grubym jędwabiem wyszyte. — Dodatek nadzwyczajny. — **Gotowa forma** paletota w naturalnéj wielkości. Dołączona forma złożona jest z trzech części, przodu, plecek i rękawa, u którego część spodnia dokładnie wykłuciem odznaczona. Każdą część formy kraje się podwójnie — złożywszy materję we dwoje, to krając otrzymamy od razu każdą część podwójnie. Ładny sposób przybrania jest obszycie z koronek cluny lub zwykłéj koronki jedwabnéj na każdym szwie i brzegu umieszczone; z szerszéj koronki epouletty na ramionach. Jeżeli paletocik jest wycinany w zęby, potrzeba na każdym zębie dać mały kutasik sznelowy lub szmuklerski elelocik 1½ centimetra w przecięciu wiszący na 3 centimetry długim sznurku z paciorek.

Jeżeli paletocik z czarnéj i jedwabnéj materji lub z jasnego wełnianego korciku, można go obszyć wypustką białą jedwabną lub ściegiem łańcuszkowym mieszanym z paciorkami. Kto nie gustuje w paletociku z zębami, może je zupełnie opuścić, krając dołem zupełnie równo, co jest także modnie.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu".

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.